

Popierajmy *małżeństwa*

W tej chwili Polska z punktu widzenia zasobów pracy jest we względnie najkorzystniejszej sytuacji spośród krajów UE. Za 50 lat będzie w najgorszej - ostrzega prof. Marek Okólski*, demograf, dyrektor Ośrodka Badań nad Migracjami i szef Katedry Demografii Uniwersytetu Warszawskiego oraz profesor Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w rozmowie z Dorotą Goliszewską.



- Prognozy demograficzne sugerują, że powinniśmy się spieszyć, jeśli chcemy uniknąć zapaści demograficznej.

- I tak, i nie. W perspektywie najbliższych 20 lat zajdą stosunkowo niewielkie zmiany demograficzne, i dopiero później sytuacja zacznie się robić krytyczna, ale jeśli nie chcemy katastrofy, to trzeba jej już dziś zapobiegać. Bo np. dzieci, które będą potrzebne na rynku pracy za 20 lat, muszą się urodzić już dziś.

- Spróbujmy skatalogować rzeczy, które trzeba zmienić, żeby kobiety chciały rodzić.

- Recepta jest prosta, trzeba wspierać rodzinę. Mówiąc rodzina, mam na myśli rodziców i dzieci, a nie tylko jednostki, które realizują wyłącznie własne aspiracje, czy singli, którzy nawet łączą się w pary, ale niezobowiązująco i dla których dzieci są często tylko obciążeniem.

- Cała Europa ma problemy ze starzeniem się społeczeństwa, jednak w Polsce ten problem jest wyjątkowo ostry, z czego to się bierze?

- Z kilku powodów. Polska ma fatalną sytuację demograficzną od czasów II wojny światowej. Pokolenie sprzed czasów wojny i wojenne to pokolenie o małej liczbie urodzeń i dużych ubytkach z powodu migracji i strat wojennych. Bezpośrednio po wojnie z kolei, czego nie notowano w żadnym innym kraju Europy, rodziło się Polsce więcej dzieci niż kiedykolwiek wcześniej. Nastąpił gwałtowny skok, np. w miastach średnio w rodzinie rodziło się prawie dwa razy więcej dzieci niż bezpośrednio przed wojną. Ten niebywały skok miał wpływ na późniejsze lata; mówi się o echu demograficznym, bo ogólna liczba urodzeń jest zależna także od liczby potencjalnych rodziców. Jeśli urodziło ich się mniej, to w przyszłości będzie potencjalnie mniej dzieci. Wyż powojenny generował później takim echem dużą liczbę urodzeń.

- Aż przyszedł okres transformacji...

- ... w którym weszliśmy w okresie niżu rodziców. Ludzie mogli swobodnie migrować nie tylko dlatego, że dostali paszporty. Poszerzyły się rynki pracy i możliwości zatrudnienia za granicą.

Na te zjawiska nałożyły się zmiany kulturowe, modne stało się posiadanie mniejszej liczby dzieci. I wreszcie, we wszystkich krajach Europy Wschodniej transformacja spowodowała wzrost niepewności.

Skończyło się państwo opiekuńcze, liczenie na to, że państwo coś nam da: wczasy, wycieczki, paczki na święta. Kumulacja tych wszystkich czynników dała dramatyczny efekt w postaci spadku liczby urodzeń.

- Jak sprawić, by pary chciały być rodziną?

- Tak zwana polityka prorodzinna państwa jest rzeczą karkołomną, bardzo kosztowną i daje minimalne rezultaty.

We Francji, która ją prowadzi od kilkudziesięciu lat, efekty są też mizerne.

- Jak to? Wszyscy podają ten kraj za wzór do naśladowania...

- Francja prowadzi politykę pronatalistyczną od czasów depresji demograficznej w latach 30. Mało kto pamięta, że przed wojną we Francji usunięcie ciąży było zagrożone karą śmierci. Potem kładziono duży nacisk na wspomaganie infrastrukturalne czy bezpośrednio finansowe. Ale nigdy, z wyjątkiem boomu powojennego, nie osiągnięto poziomu dwojga dzieci na parę rodziców. Wciąż ten wskaźnik jest poniżej tej granicy, chociaż margines jest już niewielki. Natomiast chciałbym podkreślić fakt niepodważalny, że nie ma takiego kraju europejskiego, gdzie liczba dzieci jest mniejsza niż dwoje, jeżeli parę stanowi małżeństwo. Czyli małżeństwo, mimo że dziś jest instytucją kwestionowaną jako przestarzała, jest naturalnym otoczeniem dla dzieci.

- U nas ten wskaźnik też jest na takim poziomie?

- Tak. Średnio na małżeństwo przypada dwoje dzieci, a nawet więcej.

Ale w dzisiejszej Polsce problem polega na tym, że bardzo wielu młodych ludzi nie wstępuje w związki małżeńskie - odkładają to na później.

Wszyscy znamy tzw. wskaźnik dzietności, który - dokonując tu pewnego uproszczenia - mówi, ile średnio dzieci przypada na jedną kobietę w ciągu jej życia; dąży się, żeby to było około dwoje.

Ale jest też analogiczny wskaźnik małżeństw, który informuje, ile pierwszych małżeństw średnio przypada na kobietę w ciągu jej życia. Niby wskaźnik absurdalny, bo albo jest to 1 albo 0, ale średnio na kobietę powinien wynosić między 0 a 1. I do niedawna w Polsce był blisko jedności - 0,95 proc. kobiet w ciągu swojego życia wchodziło w związek małżeński.

Ostatnio spadł poniżej 0,7. To oznacza, że jedynie 70 proc. kobiet ma szansę na zawarcie małżeństwa, ale nie ma pewności, iż tak się stanie. I tu tkwi główna przyczyna zbyt niskiej dzietności. Dlatego, moim zdaniem, to małżeństwa, i potencjalne małżeństwa, powinny dostać sygnał od państwa, że jest bezpiecznie.

- Pan wie, że to, o czym rozmawiamy, jest niepoprawne politycznie?

- Oczywiście, wiem. Ale tu leży tajemnica demograficzna. Jakikolwiek kraj przyjdzie nam do głowy, Szwecja, Francja, Holandia, to wszystkie bardzo nowoczesne kraje, wszędzie w małżeństwach średnio liczba dzieci przekracza dwoje. To ma swoje implikacje, bo okazuje się, że rozwiązanie problemu demograficznego nie musi być niewyobrażalnie kosztowne. Wystarczy odwrócić priorytety i w jakiś sposób wyraźnie faworyzować małżeństwa. Tymczasem w Polsce to kobieta, która urodzi dziecko samotnie ma większe przywileje. I to jest sygnał, który działa. Na Zachodzie nieślubne dzieci są wyrazem wyzwolenia, mają je dobrze wykształcone kobiety, które chcą być niezależne i nie żądają od społeczeństwa gratyfikacji. A u nas najwięcej nieślubnych dzieci jest na wsiach popegeerowskich, bo to się opłaca.

- Zasiłki, przywileje dla matek samotnie wychowujących dzieci itd.

- To błędne koło. Rozmawiałem już z politykami na ten temat, rozumieją problem, ale nie mogą albo nie chcą nic z tym zrobić.

- W trudnej sytuacji demograficznej może warto pomyśleć o polityce migracyjnej.

- Tu pod ręką jest proste rozwiązanie.

Chodzi o powroty. Mamy około 2 mln ludzi, którzy są w zawieszeniu - formalnie nie wyemigrowali, ale przebywają za granicą. Są ujmowani w ewidencji, ale nie uczestniczą w życiu gospodarczym.

A stanowią istotny czynnik ekonomiczny w każdym społeczeństwie.

To potencjalna elita. Znam opracowania, które mówią, że reemigranci to źródło sukcesu nowych centrów technologicznych w takich krajach, jak Izrael, Chiny, Indie, nawet Niemcy.

- Naprawdę z Polski wyjechali sami kreatywni, przebojowi ludzie?

- Nie, ale po pierwsze, wyjechała młodzież. Spośród wszystkich fal migracyjnych, które miałem okazję badać, nie było tak młodej, która tak licznie pierwsze doświadczenia zawodowe zdobywała za granicą. Po drugie, wśród najmłodszych jest nadproporcjonalnie dużo ludzi, którzy skończyli studia. Tu zaczyna działać prawo wielkich liczb, czyli możemy założyć, że są wśród nich na pewno znakomici, utalentowani ludzie, może jacyś geniusze. I moim zdaniem, oni byliby skłonni wrócić, jeśli mieliby do czego wrócić.

- Więc jak skłonić młodych Polaków do powrotów?

- Tworzyć miejsca pracy, które oferują karierę zawodową, czyli laboratoria, instytuty badawcze, przemysłowe.

W Polsce praktycznie nie ma programu powiązań przemysłu z nauką.

- Minister Kudrycka mówi, że to się zmieni.

- Jedyną instytucją, która ma program wspierania powrotów jest Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej, ale dysponuje niewielkimi zasobami i nie funkcjonuje w sferze praktyki. Jeżeli zaoferujemy ciekawą pracę w Polsce, to jest pewne, że młody polski naukowiec wróci, bo nie dość że dostanie możliwości rozwoju, to będzie też korzystał ze swojego kapitału kulturowego. Ojczysty kraj zawsze daje przewagę.

- To propozycja dla intelektualnej elity. Co z większością emigrantów?

- Racja, do elity można stosunkowo łatwo adresować takie programy, do pozostałych znacznie trudniej. Dopóki polska gospodarka nie stanie się konkurencyjna, to nie będziemy mieli dla nich atrakcyjnej oferty.

- Zakładając, że politycy nie zrobią niczego sensownego w tej materii, jak będzie?

- Nie możemy robić takich założeń.

W tej chwili Polska z punktu widzenia zasobów pracy jest we względnie najkorzystniejszej sytuacji spośród krajów UE. Ale za 50 lat będzie w absolutnie najgorszej. Wszystkie będą miały gorzej niż dziś, ale w niektórych sytuacja zmieni się tylko w minimalnym stopniu.

U nas pogorszy się dramatycznie.

Gdybyśmy zaczęli to zmieniać już dzisiaj, to prawdopodobnie bylibyśmy w trudnej sytuacji, lecz podobnej jak w krajach starej Unii.

Cudów nie ma. Cała Europa się starzeje.

W Polsce najmłodsze pokolenie zmniejsza się bardzo radykalnie, natomiast pęcznieje starsze. W tej grupie są też ludzie powyżej 80 lat, którzy wymagają stacjonarnej opieki. Za 50 lat - jeśli

spełnią się przewidywania ekspertów Eurostatu - liczba osób w wieku produkcyjnym w Polsce będzie o około 10 milionów mniejsza niż obecnie, ale liczba ludzi w wieku poprodukcyjnym będzie o około 6 milionów większa, przy tym aż 4 miliony osiągną wtedy wiek sędziwej starości.

A to będzie oznaczało, że znaczną część zasobów pracy trzeba zaangażować w opiekę nad nimi.

Co będzie, gdy główną gałęzią działalności gospodarczej będzie opieka nad starszymi? Nie możemy jednak przyjmować ani poważnie rozważać takich założeń. Musimy się skupić na tym, co należy zrobić, by do tej sytuacji nie dopuścić.

* Marek Okólski jest prezesem Fundacji Ośrodka Badań nad Migracjami, pracuje w Instytucie Socjologii Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej

Z numeru 09-2012 Miesięcznika Gospodarczego Nowy Przemysł